



Zwiedzanie Mumbaju skończyliśmy późnym popołudniem. Odstawieni na Dworzec Wiktorii, poszliśmy do głównego holu, w którym wybraliśmy knajpkę na kolację i aby przeczekać kolejne godziny do podstawienia pociągu do Aurangabadu. Kolacja jak kolacja. Nic szczególnego, tyle, że było ciasno, bo do małej restauracyjki z wielką kartą dań wpakowaliśmy z bagażami. Po zapłaceniu rachunków grupa się rozlaźła - jedni poszli robić zakupy „na drogę” typu woda i ciastka, inni robili zdjęcia pięknej bryły dworca, a Szot pilnował dzielnie pozostawionych samopas plecaków. Kiedy wybiła godzina „zero” poszliśmy na peron nr 18 gotowi na nową przygodę.

Mrowie czekających ludzi, bezpańskie psy, szczury buszujące pomiędzy torami i pociągi - długie, ciężko wtaczające się na stację... wszystko to wyraźnie zafascynowało młodzież. Inna sprawa, że nasi wyprawowicze okazali się bardzo otwartymi ludźmi, chętnie rozmawiającymi z Indusami i wypytujacymi tubylców o wszystko - od zabytków po dietę miejscowych.

Ale ad rem... nasz pociąg był podstawiany, więc odnalezienie miejsc w wagonach i zabezpieczenie plecaków potrwało krótką chwilę. Zasnęliśmy około północy kołysani mknącym w stronę Aurangabadu kolosem. Na miejscu byliśmy o czasie, czyli o 4.15, a jakieś pół godziny później zaczęliśmy rozlokowywać młodych w pokojach hotelu Pariwar, w którym była już wyprawa Słowaka cztery lata temu, a który stoi jakieś sto metrów od dworca.

Tego dnia spaliśmy, wstyd przyznać, do południa. Spało się dobrze, bo temperatura w Aurangabadzie nie była tak wysoka jak w Mumbaju, nie było tak duszno i parno, a poza tym co innego zdrzemnąć się w pociągu, a co innego rozłożyć boskie ciała w wygodnych łózkach. No więc spaliśmy do południa, potem pojechaliśmy na pyyyyszne śniadanie do restauracji „pure veg”. Kadra pożarła masala dosy... A po śniadaniu zaczęliśmy zwiedzać. Oczywiście nie sam Aurangabad, a świątynie pobudowane w grotach między 3 a 7 w., ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi zarówno bogów hinduskich jak i Buddę. Drugi przystanek tej wycieczki był pod... Tadź Mahalem. Małym Tadź Mahalem vel Tadziem. Jak tylko weszliśmy do ogrodów okalających to mauzoleum staliśmy się gwiazdami, czyli ciągle ktoś chciał sobie z nami robić zdjęcia, indywidualnie i z całą grupą. Trudno było przejść parę metrów. Nasze blade oblicza i blond włosy niezmiennie (patrzac z mojej perspektywy) fascynują Indusów. A po sesjach zdjęciowych pod „Tadziem” ruszyliśmy do punktu trzeciego ekskursji, tj. kilkusetletniego młynu wodnego Panchakki, którego forma zdecydowanie przegrała z maleńkimi kotkami brykającymi na klombach przy rzeczonym zabytku.

Po wycieczce była kolacja i kilka godzin odpoczynku w pozycji horyzontalnej. Tuż przed kolacją kilkoro młodych zdecydowało się podjechać do punktu Airtela, by kupić karty SIM. O tym, że operacja się udała przekonaliśmy się jadąc do restauracji, kiedy to w kieszeni Kumara zadzwieczał telefon i wyświetlił się nieznanym numer. Szef odebrał i rozmawiał z kimś z poważną miną PO ANGIELSKU. I ja i Grace pomyślałyśmy, że zadzwonił właściciel hotelu lub organizujący nam transport jego brat. Tymczasem... po dłuższej chwili rozmowy dyrektor zorientował się, że rozmawia z... Kubą Kaczmarkiem, meldującym, że załatwili co chcieli i dojeżdżają do nas coś zjeść.

Drugi dzień zaczęliśmy śniadaniem przygotowanym przez młodzież w jednym z pokoi przypominającym suszarnię pralni miejskiej. Potem znowu załadowaliśmy się do traveller'a i pojechaliśmy do położonej ok.30 km od Aurangabadu Ellory, gdzie znajduje się kompleks



kilkudziesięciu jaskiń - świątyń udostępnionych turystom. We wzgórzach Charanandri, w czasie o trzeciego wieku przed naszą erą do ósmego naszej, wykuto świątynie hinduistyczne, dżinijskie i klasztory buddyjskie. Zwiedzanie ich zajęło nam kilka godzin. W trakcie spaceru od świątyni do świątyni robiliśmy zdjęcia, niektórzy nabywali drogą zakupu rozmaite precjoza oferowane przez zaczepiających nas handlarzy. Łukasz zwany Szotem tradycyjnie już bodźcował mnie werbalnie, ćwicząc belferską cierpliwość. W pewnym momencie nogi już mocno bolały, puste brzuchy popiskiwały z głodu, ale wszystko rekompensowało to, co mogliśmy obejrzeć. Wreszcie nawet Kumar poczuł się LEKKO zmęczony, skutkiem czego spod ostatniej świątyni podjechaliśmy do wyjścia z kompleksu zabytków wygodnym, białym wehikułem.

Drugi dzień zaczęliśmy od wyprawowego śniadania (konserwy + warzywka + sery + chleb tostowy) i zmartwień, bo pierwszych kilka osób zaczęło się uskarżać na ból brzucha. Na szczęście sytuacja została opanowana i mogliśmy, już w pełni spakowani, ruszyć do Ajanty. Droga zajęła nam dwie godziny, a zwiedzanie zabytkowego kompleksu wypełniło czas do 16.30. Naszym przewodnikiem po buddyjskich świątyniach był Karol Tront. Dodam, świetnie przygotowanym. Opuszczając cud architektury z przełomu er, zjedliśmy przepyszne świeże ananasy, po czym wsiedliśmy do busa i ruszyliśmy do dworca w Jalgaon. Był jeszcze przystanek na pyszną kolację i zdjęcia zachodzącego malowniczo słońca. A potem nastał czas odsiadki na dworcu. Była 21.00 a pociąg mieliśmy zaplanowany na 2.45. Poczekalnia dla kobiet była w remoncie, więc wszyscy wpakowaliśmy się do męskiej. W pewnym momencie ktoś z nas zauważył, że oprócz toalet w rzeczonyj poczekalni jest i prysznic. No i dość szybko powstało coś, co Polacy, nawet młodzi, mają wdrukowane w geny, a mianowicie LISTA KOLEJKOWA. Autorem był Kuba Kaczmerek, który jako łazienny spisał się doskonale, bo pilnował porządku i czasu mycia się przepoconych wyprawowiczów (zdjęcie listy w załączniku). Kto się ciaprał najdłużej? SZOT. ŁUKASZ SZOT. I jak już prawie wszyscy byli czysti, Kumar - oczekujący grzecznie na swoje miejsce w „łaziencie” - sprawdził co z pociągiem... no i okazało się, że możemy pluskać się dużo dłużej, bo „ciuchcia” ma godzinne opóźnienie, które miało rosnać.

Uznałam, że pora się położyć, więc owinięta prześcieradłem, na kocyku rozłożonym na podłodze i z głową na czymś plecaku przespałam się do ok. 4.30. Jak się okazało duża część grupy poszła moim śladem. Przed piątą Kumar dał sygnał do wyjścia na peron. Pociąg przyjechał o 5.03. Był zatłoczony. Indusi spali na naszych miejscach, więc trzeba było ich budzić, by móc zabezpieczyć plecaki i zacząć śnić o Kalkucie.